Anna Gwoździńska
Relację nagrała i zredagowała Janina Wołczuk
Termin nagrania: czerwiec 1991

ARCHIWUM WSCHODNIE

Anna Gwoździńska z domu Herbut, urodzona w Hajworonce 24 października 1924 roku. Rodzina nasza przyjechała do Hajworonki z Rzeszowskiego. W Rzeszowskim rodzice byli biedni, sprzedali tam ziemię i kupili na kresach ziemię, żeby polepszyć sobie życie. Pobudowali sobie domek, bardzo skromny. Mieli budować lepszy dom, ale ojciec umarł i nie zdążyli wybudować nic lepszego. Z tego skromnego domku wywieźli nas już na Sybir.

W domu było nas sześcioro dzieci, matka musiała dawać sobie radę sama. Pomagaliśmy sąsiadom, oni dawali nam konia - i tak radziliśmy. Nie najmowaliśmy do pracy nikogo. Rodzina nasza była biedna. W Hajworonce byli ludzie z różnych wiosek z Rzeszowskiego. Całą naszą kolonię wywieźli w lutym 1940 roku. Było nas około 50 rodzin. Rodziny były dość liczne, niektórzy dość bogaci. Była m.in. 4-osobowa rodzina Dereniów, 3-osobowa rodzina Dytko /ojciec zmarł na Syberii, a matka z synem wróciła do Polski, ale już nie żyją, zmarli w Miszkowicach/, rodzina Śmigielów z 7 dzieci, Płonka - było ich chyba sześcioro /rodzice i 4 dzieci/.

Pamiętam, jak nas wywozili: była godzina piąta rano, ktoś kolbą karabinu zastukał do drzwi, mama wyskoczyła z łóżka, otworzyła drzwi. Padło polecenie zbierać się, bo wyjeżdżamy. Dokąd? Od razu wszyscyśmy się zerwali, ja byłam najmłodsza. Mama pyta żołnierza, co mamy ze sobą wziąć. Dowódca- starszy, chyba sierżant, odpowiedział, że nic nie trzeba brać, bo wszystko dostaniemy. Ale żołnierz ze służby czynnej, młody, złapał mnie za rękę i kazał iść ze sobą. Mama się przestraszyła, bo nie wiedziała, gdzie on mnie prowadzi. A on wciągnął mnie do stajni i każe poszukać toporu /siekiery do rąbania drzewa/. Przyniosłam mu siekierę, a on kazał zabijać kury i indyki. Zabiliśmy chyba z 10 kur i 2 indyki. Kazał mi podać worek. Nie miałam worka, pobiegłam do sąsiadki. Ten starszy kazał za mną strzelać. Ale wróciłam z tym workiem, włożyliśmy te kury do worka - później w wagonie te kury skubaliśmy i jedli. Wzięliśmy upieczony chleb, bo nic więcej nie mieliśmy. Wzięliśmy metr pszenicy, bo ten żołnierz powiedział, że będziemy mogli to zemleć. Ale nigdzie w Rosji jej nie zmełliśmy, tylko tłukliśmy to w stępie i tak jedliśmy.

Na granicy polsko-rosyjskiej przeładowali nas do innych wagonów. Musieliśmy zostawić wszystko, co mieliśmy ze sobą - nawet ziemniaki, jeśli ktoś miał ze sobą. Przeszliśmy tak, jak staliśmy. Kiedy przynieśli nam już piersze śniadanie - kaszę mannę z olejem - to nasza mama się rozpłakała na widok tego wiadra z manną, bo

Anna Gwoździńska c.d.

nigdy tego nie jadła. Wtedy zabrali nam tylko jedzenie, a rzeczy zostawili, ubranie i pościel.

Kiedy pociąg stawał i wychodziliśmy po wodę, to przy każdym człowieku szedł żołnierz. Byliśmy traktowani jak więźniowie. Potem od stacji kolejowej na uczastek jechaliśmy sańmi. Nasza siostra zamarzała na drodze, nie wiedzieliśmy, co mamy z nią robić. Z sąsiednich sań mężczyzna przybiegł i zaczęliśmy nacierać ją śniegiem. Zatrzymano konie, bo konie były tak przyuczone, że jak jeden biegnie, to biegną wszystkie, a jak jeden stanie, to staje cały konwój. Odtarliśmy ją /Janinę / śniegiem i w coś zawinęliśmy.

Kiedy przyjechaliśmy już na uczastek, to zabrali od nas polskie dokumenty i dali rosyjskie. Zabrali nam nasze polskie obywatelstwo i chyba rok byliśmy obywatelami rosyjskimi. Na drugi rok na Zielone Święta jeden pan - leśniczy z Kowla p. Rakowski powiedział, że dzisiaj nie idziemy do pracy, bo dostajemy obywatelstwo polskie. Nikt z nas nie poszedł do pracy w ten ważny dzień. Przyjechali z rejonu NKWDziści, na koniach okrążyli nasz uczastek i pytają, kto nas nabuntował, że nie idziemy do pracy. Ale nikt tego pana nie wydał.

Pierwsza zima była okropna: nie mieliśmy w co się ubrać. Mieliśmy swoje ubrania, ale u nas nie było takich mrozów. A tam były mrozy do 40^{o} i myśmy pracowali w lesie. Spuszczaliśmy sosny.

W naszym baraku były 24 rodziny. W pozostałych dwóch barakach było chyba po 15 rodzin. Z Rosjan byli tylko majstrzy, ale oni mieszkali w osobnych domkach. Mieliśmy okropnego komendanta - nazwisko Małuszyn. To był prawdopodobnie Ukrainiec ze Lwowa. Podły. Co sobotę robił nam zebrania. Byliśmy zmordowani, chcieliśmy odpocząć. A on zbierał nas i wyczytywał normy. Kto wyrobił normę, ten dostał lepsze jedzenie; kto nie wyrobił normy, co mógł zdychać, bo co mu tam dali! Lepsze jedzenie to była zupa mięsna. Zupę gotowały Rosjanki na terenie baraków. Ale ta zupa była okropna: parę ziemniaków, kluski z mąki żytniej, wszystko się rozłaziło. W lecie były grzyby, masa grzybów. Żyliśmy tymi grzybami, ale to było ugotowane na wodzie, posolone - tylko tyle, żeby nie umrzeć z głodu. Zawsze się mówi, że tu w Niemczech byli ludzie w obozach. A myśmy gdzie byli? Czy to nie był obóz?

Komendant zamykał niepokornych na noc do pokoiku bez okna - do "tiurmy". Siedziałam w tej tiurmie jedną noc. Za to, że nie chciałam podpisać dokumentu, że będę donosicielką. Komendant wzywał mnie kilka razy i pytał, jak się ci ludzie zapatrują, czy mówią o powrocie do Polski, czy modlą się - wszystko dokładnie miałam mu donosić. Ale ja powiedziałam, że po pracy jestem zmęczona i chcę sobie spokojnie posiedzieć. A on wiedział, że ja

Anna Gwoździńska c.d.

czasem biegałam do świetlicy - byłam przecież młoda. Czasami zbieraliśmy się w tej świetlicy i śpiewali. Komendant zażądał, żebym podpisała to zobowiązanie. Ja na to, że nie podpiszę, bo moja mama raz podpisała, to nas na Sybir wywieźliście. Kiedy nas wywozili, to mama musiała podpisać taki dokument. Komendant na to, żebym podpisała, to będę wtedy dobrze żyć, nie będę musiała pracować, Będzie mi płacił , będę mogła jeździć /bo nam nie można było nigdzie wyjeżdżać bez komandirowki/ - żebym tylko donosiła. A ja na to, że jestem Polką, żyję z ludźmi w zgodzie, to też są Polacy i ja się do tego nie nadaję. Komendant na to, że wywiezie mnie jeszcze dalej. Było mi już wszystko jedno. Nie zgodziłam się i zostałam zamknięta do tej komórki. Potem mścił się na mnie bez przerwy: dostawałam najgorszą pracę, najniższą wypłatę, chociaż pracowałam jednakowo z siostrą.

Płacono nam pieniędzmi. Za to trzeba było wykupić chleb: kilogram chleba kosztował 5 rubli, a za dzień pracy w lesie nie zarobiłam więcej jak 5 rubli. A przecież chciało się kupić też tej zupy - i za to też trzeba było zapłacić. Siostra zarabiała więcej ode mnie. Poradziła, żebym poszła gdzieś pracować na dniówkę, bo za dniówkę muszą zapłacić. Przez rok pracowałam w lesie na dniówkę. Z uczastka do stacji było 9 km. Z lasu na saniach traktorami wywożono drzewo opałowe i budulec. Sanie ciągnięto po takiej drodze dla traktorów - to były takie rowki szerokie może na 70 cm, a głębokie na pół metra. Drewno wywożono tylko zimą. Jak śnieg napadał, to kobiety czyściły te rowki dla traktorów - każda miała po półtora kilometra takiego rowu. Traktor ciągnął czasem i 7 sań. Trzeba było łopatką wyrzucić ten śnieg, wymieść. Chociaż to była dniówkowa praca, ale trzeba było porządnie się napracować. Ciężko. A kiedy dostaliśmy już polskie obywatelstwo z powrotem, to komendant nasz uciekł, zostawił nas na pastwę losu. Wtedy już nie było innego wyjścia, musieliśmy z tego uczastka uciekać. Nie przywozili już nam żywności i uciekaliśmy, kto gdzie mógł - do kołchozów.

W baraku nie wolno było się modlić. Mieliśmy starszego baraku - to był człowiek wybrany przez komendanta, ten pan pilnował tego. Ten pan też był niedobry dla nas, wszystko donosił komendantowi. A komendant na zebraniu powtarzał, że o Polsce nie ma co myśleć, bo Polska już jest z mapy wykreślona. A ja tak pragnęłam tej chwili, żebyśmy mogli od tych kacapów się odłączyć. Miałam już ich dość. Kiedy byliśmy w kołchozie, to też traktowano nas źle. Stale byliśmy jak więźniowie. Mój szwagier jeszcze na uczastku chciał zaprosić do siebie majstra na kieliszek - ten majster był jeszcze znośny. Ale on odmówił, ponieważ bał się stracić

Anna Gwoździńska c.d.

pracę za kontakty z nami - zakluczionnymi.

Mimo, że nie wolno było się modlić, to ludzie się modlili, śpiewali w lesie. W nocy mogłam uklęknąć i się pomodlić. W nocy już nikt nie przyszedł. W baraku były porobione przegródki, może 3 na 3 - i w takiej komórce mieszkały całe rodziny. My mieliśmy jedno żelazne łóżko, poza tym były takie jakby drewniane ławy i na tych ławach na siennikach spaliśmy. Nie do zniesienia były pluskwy i inne robactwo.

W pierwszym roku naszego pobytu, w 1940 zapanował tyfus. Zmarli wtedy przede wszystkim ludzie starsi i dzieci. Zmarła moja chrzestna Antonina Płonka, zmarła wnuczka pani Zalotowej - dużo osób wtedy zmarło na tyfus. A ja później byłam chora na czerwonkę. Był na stałe jakiś ruski felczer. Początkowo po naszym przyjeździe był jakiś Żyd polski, bardzo dobry człowiek. Zmarła mu w Rosji żona. On był dobry, ale nie mógł dać zwolnienia, jeśli ktoś nie miał gorączki - choćby był umierający. Nie wolno mu było dać zwolnienia.

Kiedy zachorowała moja mama, a miała 60 lat, poszłam z nią do tego ruskiego felczera. A on mówi, że to już jest starucha, niech umiera, nam takich ludzi już nie nado /nie potrzeba/. Dobrze, że moja mama tego nie rozumiała. Mi było przykro, bo ja rozumiałam, bardzo szybko nauczyłam się po rosyjsku. Nikt nas nie uczył języka. Nie było też żadnej nauki dla dzieci. Mój siostrzeniec, Albert, dopiero w Polsce zaczął się uczyć, z opóźnieniem.

W kołchozie pracowaliśmy w polu. Nie wszyscy Rosjanie byli źli. Ale jedna z Rosjanek powiedziała, że te Polaki zeżrą cały chleb, a Rosjanom tylko jarzębina w lesie zostanie. Nie lubili nas, nienawidzili. Kołchoz był bardzo duży, ziemia taka urodzajna, że nawóz spod bydła wywożono pod las i potem palono, nie nawożono ziemi, bo i tak rodziła. Tam nie powinno nigdy brakować chleba, ale zbiory marnotrawili. Podczas młócenia połowa zboża szła w plewy. A kiedy jeden z naszych wziął do woreczka trochę grochu, to go wsadzili do więzienia za kradzież. On z tego więzienia już nie wyszedł. Nazwiska nie pamiętam.

Z tego kołchozu już poszłam potem do wojska. W lesie słyszeliśmy o tym, że organizuje się armia Andersa, ale z naszego uczastka nikt do Andersa nie poszedł. Ludzie nie zdążyli. Ja miałam zamiar iść do tego wojska, ale mama moja była już bardzo chora. Mówiła, żebym szła do wojska, że w ten sposób może się uratuję, a oni już tam poumierają. Ale po tych słowach nie chciałam się już ruszać. Mamę swoją pochowałam własnymi rękami. Mężczyzna wywiozł trumnę do lasu, wykopaliśmy w piasku dół i postawiliśmy zrobiony ukradkiem krzyż. Tylko tyle.

Anna Gwoździńska c.d.

Jak byłam młoda, to nad tym nie myślałam, ale teraz nie mogę się uspokoić, że swoją matkę własnymi rękami grzebałam. I już więcej nigdy nie byliśmy na tym grobie, wszystko się tam zapadło. To było miejce, gdzie grzebano Polaków i jeńców niemieckich. Niemcy byli w innej wiosce. Kiedy chowaliśmy mamę, to akurat przywieźli też Niemca. Mama była przynajmniej w skrzynce, a Niemiec był zawinięty w prześcieradło. Krzyża jawnie na grobie też nie wolno było postawić.

Pamiętam takie wydarzenie: na 8 marca komendant zrobił taką uroczystość dla kobiet; była nawet chyba jakaś orkiestra, niektóre dziewczynki /były dwie córki majstrów rosyjskich/ nawet sobie potańczyły. A w nocy ktoś z naszych chłopaków zakradł się do tego klubu i wykłuł oczy Leninowi i Stalinowi. Na drugi dzień najechało na uczastek NKWDzistów, wszystkich wzywali na przesłuchanie,
str.B pisali protokół, ale się nie dowiedzieli, kto to zrobił. Myśmy wiedzieli potem, kto to zrobił. To byli tacy trzej bracia - Wołyniacy. Oni sami nam powiedzieli, ale nikt nikogo w biedzie nie wydawał. Polacy żyli bardzo zgodnie. Mówiliśmy tylko, że kiedy wrócimy do Polski, to temu starszemu baraku chyba odpłacimy. Ale kiedy wróciliśmy do Polski, to Polska była taka sama jak Rosja. Inna nie była. Ale dziękuję Bogu, że doczekałam chwili, że już nie ma komuny.

Kiedy mieszkaliśmy jeszcze na "uczastku" musiałam się nauczyć rosyjskiego. Nauczyłam się języka od córki jednego z majstrów Rosjan. Ona mnie lubiła, przychodziła do mnie do baraku, mimo iż jej ojciec był temu przeciwny. Zapraszała również mnie do siebie, ale ja do niej poszłam wszystkiego chyba ze dwa razy, bo jej matka była bardzo wrogo nastawiona do Polaków. Majster ten nazywał się Szurmin, a dziewczyna miała na imię Tonia. Tonia zawsze mnie pytała o nazwy rzeczy /nóż, chleb, spódniczka, bluzka i t.p./ po polsku, a potem tłumaczyła to na rosyjski. Ona się chciała nauczyć po polsku, a ja od niej szybko nauczyłam się po rosyjsku.

W kołchozie język, którym mówili ludzie, był bardziej "chochłacki". Mieli inny akcent, niż Rosjanie na "uczastku". W kołchozie mieszkaliśmy osobno od Rosjan, zajmowaliśmy stary dom, w którym poprzednio była prawdopodobnie szkoła. Dom ten był opuszczony, kiedy padał deszcz, to trzeba było szukać miejsca, w którym na nas nie padało. W kołchozie było dość dużo Polaków, poprzyjeżdżali ludzie z innych "uczastków".

W kołchozie płacili nam za "trudodzień" /pracodzień/. Początkowo po naszym przyjeździe dawali nam groch, mąkę - produkty.

Anna Gwoździńska c.d.

Podczas wojny z Niemcami w kołchozie też już była bieda, nie było chleba. Za jeden trudodzień dawali nam wtedy kilogram mąki owsianej, z łupiną. W kołchozie jedliśmy już też wszystko, co się dało. Ale to nie trwało długo, bo ja głodowałam w kołchozie już tylko rok. Później poszłam już do wojska.

W kołchozie czuliśmy się już wolniejsi, nikt nam nie przeszkadzał. We wsi była niezniszczona cerkiew, był pop. Miejscowi mówili, że tę cerkiew też chciano kiedyś zniszczyć, ale ludzie jej bronili, jak tylko umieli - i nie zamknęli tej cerkwi. Chodziły do niej staruszki. Polacy też chodzili na nabożeństwa - pop się nawet cieszył z tego. Tylko że ja nie chodziłam np. do spowiedzi; dzisiaj to bym na pewno poszła i do spowiedzi do popa, a wtedy ludzie bardziej przestrzegali odrębności, uważali, że to inna wiara, inne wyznanie. Ale do cerkwi chodziłam na Mszę, uklękłam, pomodliłam się. To też było warte. Tylko Msza się odprawiała inaczej niż u nas. Śpiewano - śpiewały staruszki, pop i Kościelny /diaczek/. Cerkiew była bardzo ładna.

Nasze święta na zesłaniu: kiedy pracowaliśmy w lesie i w drugi dzień Swiąt Wielkanocnych nie poszliśmy do pracy, to nie dostaliśmy jeść - nie dali nam chleba, bo te 80 dkg chleba było wydzielane codziennie. "Jak nie chcecie iść do roboty, to nie musicie jeść". A ludzie wcześniej się zmówili i nikt nie poszedł do roboty, w baraku jeden uprzedził drugiego - żyliśmy przecież bardzo zgodnie, biednie ale bardzo zgodnie. W kołchozie też nie pracowaliśmy w dni świąteczne i kary już za to nie było. Rosjanie, ci starzy, chyba świętowali swoje święta prawosławne, ale ci młodzi byli już obojętni. Boga u nich nie było już wcale. Bardzo się dziwiłam, że tam tak szybko załamali ludzi, ale to przez surowy rygor, ruski. Tacy młodzi jak ja mówili już, że "Boha nietu" i nawet złorzeczyli. Nie miałam zresztą szerszych znajomości z młodzieżą w kołchozie. Było nas dużo polskiej młodzieży, spotykaliśmy się w mieszkaniach. Informacje o tym, co się dzieje na świecie, przynosili mężczyźni - Polacy. Oni się tym interesowali.

Z Rosjanami nie poruszaliśmy tematów politycznych, nie chcieliśmy. Czuliśmy się bardzo pokrzywdzeni, bo mimo iż żyliśmy przed wojną biednie, ale na swoim. A oni nas wywieźli i gdyby nie ta wojna Rosji z Niemcami, to do Polski nigdy nie wrócilibyśmy. Wróciliśmy właściwie dzięki Hitlerowi.

Do wojska poszłam wezwana urzędowo. Poszłyśmy z naszej rodziny we dwie z siostrą i szwagier. Poszło nas wtedy dużo z kołchozu, m.in. obecna Kowalczykowa, Karolcia Gut, jej brat. Szliśmy do rejonu - Irbitu - 45 km pieszo. Tam stawaliśmy na komisję

Anna Gwoździńska c.d.

i już nie wracaliśmy do domu. Chciałam już iść do wojska, myślałam, że w wojsku przeżyję, bo w kołchozie było już bardzo ciężko. W lecie można było urwać marchew i zjeść. Jedliśmy nawet buraki surowe, surową kapustę - wszystko, co się dało. A w zimie nie było już co jeść. Pracowaliśmy w magazynie przy sortowaniu zboża. Jeszcze podczas pobytu w lesie /na drugą zimę/ dostaliśmy przydziałowe kufajki i spodnie. Teraz do tych spodni nasypywałam to, co sortowaliśmy - żyto, groch - do kolan, żeby się nogi zginały. To było lodowate, a spodnie zakładało się na gołe ciało. Marzłam, ale przynosiłam w spodniach to zboże - i to się w domu jadło: był wydrążony drewniany pień - taka stępa, w którym się tłuczkiem obijało to zboże tak długo, aż z niego schodziła łuska. Taką obitą-łuskaną pszenicę jedliśmy, a jęczmień nie dał się tak obić, był za twardy.

Nikt z nas nie miał kontaktu z krewnymi czy znajomymi na kresach, bo wszystkich nas wywieziono. Dlatego też nikt nie miał znikąd żadnej pomocy. Chyba w 1943 roku na wiosnę przyszły do kołchozu dary dla Polaków, to były chyba dary z UNRRy, były tam leki, odzież /jedzenia chyba nie było/. Rozdzielał to pan Cut /mąż zaufania/ jeszcze z jednym panem; robili to sprawiedliwie, nikt nie miał do nich pretensji.

Kiedy ja byłam w wojsku, to moje rodzeństwo było już na Ukrainie. Pracowali tam w sowchozie, mieli już lepiej. W sowchozie były owoce, było cieplej. A na Syberii najbardziej dokuczały nam mrozy; całe szczęście, że nie było wiatrów, było bardzo spokojnie. Nie było też właściwej nocy - była taka szarówka.